



CEZARY JELLENTA.

## O wigilię Nowego Roku 1915

(fragment z drukującego się pamiętnika).

—o—

26 grudnia — sobota.

W Warszawie zaczyna coraz częściej dzwonić słowo „Niepodległość”. Niektóre pisma, z orientacją przeciwrosyjską, strasznie paradują białymi okienkami, które porobiła w artykułach cenzura wojenna. Przez te okienka widać najwyraźniej nieporadność dziennikarską prasy, która jeszcze nie jest prasą, w światowym znaczeniu tego słowa. Albowiem dziennikarz zreczy i wytrawny, gdy zechce, potrafi wypowiedzieć wszystko, choćby na każdym palcu siedziała mu cenzura. Chyba, że idzie o manifestację nielegalności wobec dość niewybrednego mobu, — wtedy owe okienka otwiera się umyślnie.

Inne znów pisma, dzieląc się w numerze wigilijskim z czytelnikami opłatkiem, częstują go zarazem mnóstwem choinkowych świecidełek politycznych, zapalających nadzieję i wyobraźnię. Na drugiej zaś stronicy już leją się po dawnemu upusty szowinizmu i szlagoństwa, ażeby przypadkiem nie zapomniał, że gdy mówi niewolnik, to choćby pyskował o wyzwoleniu, zawsze będzie to tylko szczęk kajdan.

Na naszym życiu politycznym znać trujące gazy państwowości rosyjskiej. I nasze rękome westchnienia do niepodległości są *Russiae natae, Varsoviae educatae*, z czego nie wypływa jeszcze — żeby miały smak tokaju, nie: najczystsze dziegcie.

Ale dla Rosjan te gazy nie są bynajmniej trucizną. Oni od despotyzmu tyją i krzepną. Dla nich jest to powietrze najzdrowsze. Zaczynają się czuć źle dopiero wtedy, gdy usłyszą wyraz „konstytucja” lub „autonomia”. Rosja — jak mnie zapewniają ludzie najpoważniejsi i dobrze ją znający psychologowie — tak samo rozumieć nie jest zdolna wolności obywatelskiej, jak my np. nie rozumiemy ludożerców. Wynalazła ona surrogat wolności, daleko tańszy i lepszy od niej: szeroką naturę. Posiadają ją wszyscy w dowolnie pożądanym stopniu, — wszyscy, t. j. armia, biurokracja, kupiectwo, ziemcy. Państwo daje im wszystko, czego dusza rosyjska zapagnie: samowolę, swawolę, łapówki i kobiety, protekcje i zbytki — słuszną zupełną świadomość niezgwałcalności Rosji.

Cała Kongresówka również patrzy na autonomję, jak krowa na konstytucję: zadartszy ogona, zmyknęła na pierwszy piorun swobody, jak przed trąbą powietrzną.

Był jakiś czas i były jeszcze w przeszłym tygodniu koła, w których przeświecała myśl rozumna: że Polska bądź co bądź wybitną rolę odgrywa, że o jej przychylności muszą dbać strony wojujące. Zrozumiano też, że państwo, które w tej wojnie ulegnie, będzie się domagało wzmocnienia Polski, gwoździ osłabienia dzierżącego ją przeciwnika. W ten sposób zwyciężone Niemcy będą żądały — o paradoksie najzabawniejszy pod słońcem! — niepodległości dla Polski. Być może, że w analogicznym wypadku, żądać tego będzie — o przewrotności dziejowej! — Rosja. A ponieważ jedna ze stron przegrać musi, przeto racja nas niewątpliwie poprawa losu. Myśl racjonalna i przenikliwa.

Ale dzisiaj już ta koncepcja straciła kredyt. Dzisiaj — to znaczy, w obliczu tryumfalnych komunikatów naczelnego wodza, i nowym blaskiem jaśniejącej nietykalności Rosji. Tak jest: do świadomości powszechnej, przedziera się mocniejsza z każdą chwilą wiara, że bóg błota i pluchy, czynny od kilku dni i zapewne na długo, potopi zarówno armaty jak wszystkie plany Niemców.

Nie ma co mówić: Rosja jest niezwykła, wolno jej w czasie wojny tolerować bezgraniczne złodziejstwa intendenty, wolno wszystko, broniona jest bowiem przez bezdroża i bagna. Ta upragniona jeszcze niedawno dla całego świata chwila, kiedy by Rosji ktoś wyrwał kawał mięsa — nie nadejdzie nigdy. Bóg prawosławny zesłał jej też na partnera Wilhel-

ma II, wodza bez talentu, butnego improwizatora bez wielkich linii, który chciał naśladować Napoleona, a w gruncie rzeczy przedrzeźnia tylko jego niezrozumienie śnieżno-mokrej tajemnicy — bezdroży polskich i rosyjskich.

Pod opieką takiego państwa ramiona obcięte Niepodległości — nie odrastają.

I dla tego w całym „Misterjum polskim”, które dziś widziałem w teatrze Wielkim — udał się tylko balet...

27 grudnia — niedziela.

I nie tylko bezdroża i błota nie do przebycia nie zaszkodzą Rosji, lecz nie zaszkodzi jej i wewnętrzna anarchia. Toż niema dnia, żeby który z generałów, dowodzący armją lub korpusem, nie dostał dymisji. A dziś oto pewnym już jest, że i generałowie, rządzący Warszawą i Królestwem, zostali senatorami: panowie Turbin, Essen i Uthof. Polska rosyjska zostaje właściwie bez władzy cywilnej, gdyż świeżo mianowany książę Tumanow sprawuje tylko władzę wojskową. Do tego więc stopnia *l'ordre règne à Varsovie*, że można ją zostawić bez opieki satrapy i nie obawiać się najbliższych wyroków.

Inaczej dzieje się w Galicji. Tu dopiero widać, co znaczy należeć do mocarstwa, nie tylko głupiego ale i nie bogatego, albożłego finansisty, jakim jest Austria. Już dziś mam pewność, że Galicja istnieje przestając, a wskrzesła „Galicja i Głodomorja”. O tem ostatecznie mię przekonał list, który otrzymałem z Zurichu — spokojny, rozważny, rozumny. Potwierdza on, że ewakuację Krakowa przeprowadzono w sposób nikczemny i brutalny, i, że społeczeństwo galicyjskie, to, które posiada środki, absolutnie nie kłopotuje się o los kroci nędzarzy, którzy opuścili miasta i sioła, aby iść na żebry. Wiedeń się bawi i robi dobre interesy na zamożniejszych uchodźcach, a Galicja dogorywa w głodzie, opuszczeniu i chorobach. Złepki piętnastu narodowości nie mógł mieć ducha na wojnie, a jego stolica nie mogła mieć duszy wobec nieszczęścia; oficerowie z frędzelkami z tyłu, chętnie się poddają całymi tysiącami, a burżuje wiedeńscy ponoć z lekkim sercem przegrywają resztę dobrobytu i godności swej ojczyzny. Ale gdzie szukać tej ojczyzny? Rzecz prosta, iż kto ma ojczyznę kilkanaście, ten nie ma żadnej. I ten nie jest pod żadnym rządem, pod żadną opinią i pod żadnym nakazem solidarności, nie rozumie miłosierdzia i nie czuje w sobie imperatywu obowiązku.

I oto bogata Rosja jest, koniec końców, znacznie mniej okrutną dla ofiar wojny, niż ograniczona i fiskalna monarchja Habsburgów.

I cały zapal irredenty galicyjskiej zgaśł. Coraz częściej przychodzą listy od młodzieży, w których gorzko brzmi nuta zupełnego przełiczenia się.

Mieliśmy w szczupłym ale dobranym kole spędzić wieczór sylwestrowy — na muzyce i śpiewie. Lecz wieści hjobowe z Galicji, zarówno wschodniej jak i zachodniej, zarówno o walkach w polu jak i o wojnach ulicznych o 1-koronową zapomogę z magistratu, wstrzymały nas od zabawy nawet tak skromnej i duchowej. Inicjatorowie przeprosili i odwolali.

Każdy grosz przyda się dla mojej rodziny i dla tych innych rodzin, wysiedlonych z Krakowa. Rząd austriacki wypłaca im po — 40 halerzy dziennie.

O, panowie oficerowie z złotymi frędzelkami nad cesarsko-królewskim poślakiem Wam, internowanym w Kijowie i Smoleńsku, w moskiewskim jassyrze, daleko lepiej i napewno syciej, niż na czarno-żółtem łonie waszej macierzy i niż drogim mi istotom, ewakuowanym do Morawskiego Brna. Brrr!

Brniemy, brniemy coraz głębiej w trzęsawiska polskich rozczarowań...

Gadam na Austrię? Ach, mój Boże, nie piszę rozprawy konkursowej z logik! Zapewne popełniłem już niekonsekwencje. Ależ nie jestem sztandarem pułkowym, lecz tylko chorągiewką na dachu, w którą coraz to inny dmie wiatr. Spisuję wrażenia i przeżycia, nie oglą-

dając się wstecz. Nawet notatek moich nie mam pod ręką, bo ich — dla bezpieczeństwa — nie trzymam w domu. Sprawdzić więc nie mogę, czy w czeim nie uchybiam impresjom wczorajszym. Zapewne powiem o tem na wstępie, ale już tu zastrzegam.

Powiem za Nietzschem, którego w tych dniach różne służki kurjerkowe starały się wynicować na obżartego prusaka: „nie żądajcie odemnie, ażebym wiecznie zaczynał z sobą moją beczkę” — zresztą w zgodzie z sobą można być tylko przez kilka lat lub miesięcy, ale nie przez kilka stuleci, które przeżyłem wraz z Warszawą od ostatnich dni lipca roku 1914.

29 grudnia — wtorek.

Flotyła angielskich aeroplanów bombardowała okręty niemieckie w Cuxhaven! Znowu wspaniała niespodzianka i grzmiąca sensacja. Wobec niej zrodziło się przypuszczenie, że Anglicy zbudowali specjalne okręty z pokładami tak długimi, aby mogły służyć samolotom za odbiegnię. Słowem, wojna jest prawdziwym błogostawieństwem, gdyż czyni coraz genialniejsze wynalazki.

A jak rozrosła się medycyna i chirurgia? Pomyśleć jeno, ile nowych rodzajów ran i nowych szematów rozdartego brzucha, jakie pole olbrzymie dla chirurgów-szwaczów!

Dzień wczorajszy opuściłem w mym pamiętniku. Po pierwsze, dla tego, że poszedłem wieczorem na pieśni włoskie i *Stabat mater* Rossiniego, wykonane w teatrze Wielkim. Po każdym takim koncercie, w którym stale grają przedhistoryczne czasy pokojowe, a wielcy twórcy dokonywują cudów przy pomocy kwintetu smyczkowego i jednego głosu ludowego — powrót do absolutnie bezmyślnej rzeczywistości, rozłożonej na kilkaset tysięcy głosów, jęczących i rżących w agonji — jest ponad siły człowieka.

A powtóre — nic tak ważnego nie zaszło: Pogrom Niemców w sieci lewych dopływów Wisły i Austrjaków nad Dunajcem i pod Duklą — chyba już nie jest zmyśleniem.

Na ulicach woda po kostki; po obficie spadłym śniegu — trzy stopnie powyżej zera.

Przez miasto ciągną znowu nieprzeliczone pułki i tabory, dniem i nocą. Mkną automobyle z swym harmonijnym kwikiem zarzynanych wieprzów; wloką się tysiące wozów z prowiantem i furazem; biedni senni żołnierze-woźnice — na worach mąki, na bochnach razowca, nie okrytych przed deszczem, mokną, drżą z zimna i drzemią.

Mokną też i drzemią małe tłuste koniki syberyjskie, wytrwale na wilgoć i błoto, iak-gdyby stworzone do walki z roslami końmi artylerji niemieckiej, które o ile nie zginą od deszczu i pracy nad końskie siły, zapadają po brzuchy w bagna, myśląc pewnie tak samo, jak ich jeżdźcy: „Jakiż to wielki talent psucia dróg mają rosjanie”. Nie wiedzą jednak nieboraki, boć nie są rachującymi końmi Kralla, że zbudowanie tych szos, które się wydają normalnemu człowiekowi i normalnemu koniowi zepsutemi, kosztowało skarb miliony, stanowi chlubę rządu rosyjskiego i budzi zazdrość w naszych pobratymcach z Woroneża, Ufy i t. d.

30 grudnia — środa.

Zapewne to ostatnia w tym roku notatka. Wątpię, czy pisać będę jutro przed północą t. j. przed narodzinami roku nowego.

Zakończę więc dzisiaj rozdział. Zresztą, nic się nowego na widowni świata nie stało i oczywiście przez dzień jutrzejszy nie stanie. Przeciwnie, wszystko wlece się i trwa, wszystko jest w swym starym, krwawo-leniwym biegu, jakby mózg, sączący się z rozłupanego czerpu ludzkości. Nic się nie skończyło i nic się nie zaczyna, prócz chyba setnej lub tysięcznej ofensywy Niemców i setnego lub tysięcznego jej powstrzymania.

A możeby za wielkie wydarzenie poczytywać, że Anglja ogłosiła protektorat nad Egiptem? Inna tylko forma tej ssąco-tłoczącej opieki, do której złota kraina faraonów oddawna przywykła.